

jan pył

OPOWIADANIA Z WCZESNEJ MŁODOŚCI

FRAGMENT

Pamiętam, kiedy nieraz jako dziecię małe
Promyki słońca skrycie się przedzierające
Okiennic szczelinami i w świetle tańczące
Drobniotkie kurzu pyłki pilnie podziwiałem.

Niektóre, większe, nawet schwytać próbowałem
W maleńkie paluszki, lecz wtedy jasne słońce,
Zakryte nagle, zaciemniało małe gońce,
A potem lecących pyłków już nie widziałem.

To wtedy też czasem jak gdyby mi się zdało,
Że pyłkiem maleńkim, świecącym sam także byłem
I lecieć gdzieś daleko tak by mi się chciało!...

Lecz kiedy lat moich starszych później dożyłem,
W wir losów me istnienie rzucone zostało,
Pojąłem, że byłem naprawdę tylko pyłem...

1973 – 1998

NASZA GAZETKA – WYDANIE JUBILEUSZOWE

Nr. 7 (200)

Listopad

Rok XXV 1998

Słowo autora

Jak doszło do napisania moich przeżyć z sowieckiego epizodu życia? Opowiadając je innym nieraz słyszałem zachętę: "To wszystko powinienes uwiecznić w książce!" Rad tych nie brałem poważnie, bo ostatecznie każdy, kto przeżył tę straszną wojnę, mógłby napisać książkę. Zwłaszcza każdy Polak.

Kiedy jednak udało mi się stworzyć "Naszą Gazetkę", czasopismo polskie w Szwajcarii, zdecydowałem się przekazać tamte wspomnienia w odcinkach na jej łamach. W rzeczywistości każda, nawet tak bardzo osobista opowieść jak moja, jest przecież częścią historii, dokumentem przydającym barw obrazowi wielkich wydarzeń. Powstały wcześniej pomysł pseudonimu "jan pył" wydał mi się słuszny przy firmowaniu tych opowieści. "jam pył" - to przecież najlepsze samookreślenie drobnego uczestnika losów nieprzewidzianych a dramatycznych w tym okrutnym odcinku historii ludzkości. Pyłów była niezliczona ilość, jak pyłków w zwykłym powietrzu, ale każdy z nich był przecież żywym, czującym, myślącym człowiekiem.

Wspomnieniom tym dałem tytuł "Opowiadań z wczesnej młodości", bo zawarły się pomiędzy 17-tym a 19-tym rokiem mojego życia. Ich objętość dopasowałem do proporcji Naszej Gazetki. Każdy odcinek był w sobie zamknięty; wszystkie razem składały się na jedną całość. Myśl wydania tych opowiadań w zwartej całości podjął następca w redaktorstwie, Tadeusz Kilariski. Zadał sobie ogromny trud przeniesienia wszystkiego na komputer i wydania jako numer jubileuszowy Gazetki, za co mu gorąco dziękuję.

Z mojej strony, poza korektą i sporadycznymi zmianami w tekście, zdecydowałem się ożywić tę książeczkę własnymi ilustracjami. Bo ostatecznie jestem bardziej malarzem niż pisarzem.

Tadeusz Wojnarski

Od redaktora NG

Na cykl "Opowiadań z wczesnej młodości" natrafiłem zaraz po znalezieniu się w Szwajcarii, gdy przeglądałem starsze roczniki Naszej Gazetki. Temat z mało dowcipnym powiedzeniem o „czesaniu białych niedźwiedzi” nie był mi obcy, choć w PRL-u kursował w każdym, tylko nie oficjalnym obiegu. Moją rodzinę trafił bezpośrednio, gdy w po zajęciu wschodnich ziem polskich m.in. Felsztyna i Sambora, Rosjanie rozpoczęli eksterminację ludności polskiej. Na skutek denuncjacji, brat Mamy został wywieziony na Syberię, skąd już nigdy nie wrócił.

„Opowiadania z wczesnej młodości” uderzają bezpośredniością, prostotą stylu i narracji. Akcenty humoru, ironii i sarkazmu wobec systemu gnębiącego człowieka w imię "dobra ludu" sprawiają, że czyta się te opowiadania z ciekawością. Pomiędzy momentami dramatu dorastającego chłopca na próżno szukać jakichś znamienych wydarzeń. Świadectwo ich przeżywania jest samo w sobie dokumentem o wartości historycznej. Uważając za właściwe szersze udostępnienie tego dokumentu, podjąłem się zadania wydania go w skromnych ramach Naszej Gazetki - na 25-cio lecie.

Tadeusz Kilariski

Wrzesień 1939

Złota polska jesień była tego roku jeszcze złocistsza niż innymi laty. Gdyby nie ten niepokój zawieszony w powietrzu na niewidzialnych nitkach, można by pomyśleć, że były to wakacje, tym przyjemniejsze, że nie przewidziane, dodat-kowe. Przydzielono nas, to znaczy matkę, mnie i mojego młodszego braciszka do gościnnego, uprzejmego chłopca ukraińskiego. Matce wypłacono sześciomiesięczną pensję ojca, a resztę pozostawiono losowi. Niedługo powrócimy! Linia frontu konso-liduje się, tylko patrzeć jak Francuzi i Anglicy uderzą z drugiej strony.

Z nielicznych we wsi wołyńskiej aparatów radiowych wylawialiśmy wiadomości płynące z eteru. Zawsze miał ktoś nadśluch - nie wolno było niczego uronić! Warszawa I podtrzymywała cały naród na duchu. Program jednak coraz bardziej się rwał, wreszcie główna radiostacja stolicy zamilkła. Warszawa II przejęła rolę głosu narodu, lecz i to źródło informacji wkrótce zamarło. W złocistym, nasłonecznionym powietrzu zawisła złowroga cisza. Czasem jeszcze żołnierze z rozbitych oddziałów przynosili jakieś wiadomości. Chociaż były one najczęściej sprzeczne, wierzyliśmy, że nasza armia nie da się pokonać. Front podobno stabilizuje się na Bugu, nasi przechodzą do kontrofensywy. Ale czy Francuzi i Anglicy uderzyli już z zachodu?...

Ach, dlaczego wywieziono nas z Warszawy? Dlaczego ewakuowano na tę wieś wołyńską? W stolicy na pewno mógłbym się na coś przydać... Dostałem przecież opaskę pomocniczej służby obrony przeciwlotniczej. Z taką opaską i przeciwgazową maską przez ramię na każdy ryk syren wybiegałem na ulicę i w moim rejonie kierowałem przechodniów do najbliższego schronu. Nie bałem się formacji tych czarnych kruków, ani tych srebrzystych orłów, zabranych Czechom bez walki. Przecież nasze myśliwce, choć nieliczne, wpadały między nie jak pieski, mnożyły się w swojej ruchliwości, rozpraszały napastników i coraz jakiś czarny Krzyż dymiąc spadał z przestworzy jak potępiony anioł. Dalej i bliżej słychać było wprawdzie wybuchy bomb, ale to ostatecznie była wojna! Nie taka w jaką chłopaki się bawią! ... A matka tylko klęczała przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i modliła się, aby temu na ulicy nic się nie stało, aby nas wszystkich i cały polski naród miała w swej matczynej opiece...

Gdy w nocy z czwartego na piątego zadzwonił telefon z ministerstwa, że rodziny pracowników mogą skorzystać z pociągu ewakuacyjnego odjeżdżającego za kilka godzin, matka nie wahała się z decyzją: ująć przed tym piekłem, które jeszcze się na dobre nie rozpoczęło! Byłem wprawdzie najstarszym z męskiego rodu, który w domu został, ale nie było co matce perswadować.

Pociąg z ewakuowanymi z Warszawy zamiast jakichś ośmiu godzin kluczył do miejsca przeznaczenia cztery dni. Samoloty niemieckie bombardowały dworce, stacje i tory kolejowe. Poprzerywane linie zmuszały do cofania się, wiezienia nas do celu dostępnymi drogami. Po nocach, gdy się stało gdzieś w pustym polu z pogaszonymi światłami, łuny pożarów tłumaczyły nam, że trzeba cierpliwości. Mogliśmy jeszcze Bogu dziękować, że żaden nalot nie dosięgnął naszego transportu!

Teraz, pośród nasłonecznionej ciszy wsi wołyńskiej, wspomnienia te nie pocieszały nas bynajmniej. Dzień po dniu płynął wolno i smętnie, tym smętniej, im niebo śmiało się jaśniej. Gdyby tak spadły deszcze i ulewy rozmoczyły pola i te nasze kiepskie polskie drogi! Niemcy byliby ugrzęźli ze swymi czołgami, a nasze rozproszone oddziały mogłyby się pozbierać, zaś Francuzi i Anglicy...

A tymczasem słońce świeciło tak jaskrawo, jak gdyby niebo przeciw nam się sprzyściło... Czasami gospodarz, Ukrainiec, brał mnie na Seret ryby łowić. Był uprzejmy, ale na koniec Bóg wie gdzie się podział. Gdzieś przepadł z wozem, a żona na pytania dawała tylko wykrętne odpowiedzi. Jednego poranka zbudził nas dziwny ruch we wsi: bolszewicy idą na pomoc! Zerwałem się z łóżka, ubrałem pośpiesznie i wybiegłem z domu. Stojący grupami ludzie nie mówili o czym innym, jak tylko o odsieczy ze wschodu. 17-go września - dzień ratunku dla ginającej Ojczyzny!

Pędziłem co tchu ku szosie odległej o kilometr, aby przekonać się o prawdziwości tej wieści. Już z daleka było słychać turkot czołgów po bruku z polnych kamieni. A jednak prawda: Jeszcze Polska nie zginęła! Jeszcze chwila, a znalazłem się przy szosie. Gromady ludzi przyglądały się defilującej armii czerwonej. Także grupka żołnierzy-rozbitków przystanąła z boku i gapiła się na to niezrozumiałe widowisko. Nagle jeden z czołgów zatrzymał się. Przez lukę wysunął się zasmarowany, skośnooki bolszewik, zeskoczył na ziemię, podbiegł do gromadki żołnierzy i ... wyrwał im karabiny! To oni idą na pomoc i rozbijają naszych żołnierzy?!!! W jednej chwili pojąłem to, czego by jeszcze przed chwilą myśl nie dopuściła. Najchętniej wyróżniałbym pięścią tego kocmołucha w roześmianą gębę! Lecz skośnooki bolszewik szybko wskoczył przez lukę i czołg ruszył dalej. Obróciłem się i pędem pobiegłem z powrotem. Matka, gdy mnie zobaczyła, zawołała: "A co, idą naprawdę na pomoc?" Nie mogłem wyrzec słowa. Coś dławiło mnie w gardle. Rzuciłem się na łóżko twarzą w dół i zaciskałem pięści, żeby nie wybuchnąć płaczem...

Powrót

Rząd białych postaci postępował w milczeniu. Chrząst śniegu zagłuszał bicie serc. Bezgwiezdna i bezksiężycowa wczesna noc była naszym sprzymierzeńcem. Nie tą granicą pragnąłem przechodzić, a jednak dał się odczuć posmak Wielkiej Przygody. We Lwowie, gdy czekaliśmy na wiadomość o przepuszczaniu uchodźców, spotkałem kolegów szkolnych, którzy się wybierali na Rumunię. Stamtąd do Francji do formujących się polskich oddziałów...

O całą książeczkę proszę się zgłosić:

Tadeusz Wojnarski
Heidenbuelstrasse 19
CH-8352 Rätterschen (Elsau)
Schweiz – Szwajcaria - Switzerland

Tel 0041 52 363 13 09
Mobile 1 0041 78 403 86 36
Mobile 2 0041 78 728 88 35
Mail: wtadeusz@bluewin.ch